



EWA GÓRNIAK MORGAN

Venice My Love

esteri

EWA GÓRNIAK MORGAN

Venice My Love

To nie my wybieramy się w podróż, to ona nas wybiera.

JOHN STEINBECK
Travels with Charley: In Search of America

Wenecja popełniła zbrodnię. Jej zbrodnia to piękno.
Za to ją uwięziono, więc zapewne jak każdy więzień
kreśli plany ucieczki.

JOSIF BRODSKI
La laguna di Venezia

Wenecja ma misję świadczenia człowiekowi,
że jest fantastyczna sfera życia.

CYPRIAN KAMIL NORWID
Tajemnica Lorda Singelworth

Wenecja jest do tego stopnia zarośnięta pleśnią literatury,
że żadne nowe słowo nie przebije się do jej śniących
i majaczących poza czasem murów.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI
Dziennik pisany nocą

ZAWÓD: WENECJA

Od ilu już lat na pytanie: „Co robisz?” odpowiadam po prostu: „Mieszkam w Wenecji”. Oczywiście pod warunkiem, że pytanie to dociera do mnie z tej części świata, dla której określenia wystarczy, iż Wenecją nie jest. Sprawdzone posunięcie: rozmowa natychmiast schodzi na Wenecję i niepojętą (bo w rzeczy samej nikt jej pojąć nie może) szczęśliwość tych, którzy mieszkają na jednej z wysp Laguny Weneckiej. Tych bliżej nieokreślonych, za życia wniebowziętych, tych, co to ruszyli w świat, a potem przepadli, lecz oto – zamiast do czyścica życiowych perypetii lub piekła bankructw – poszli wprost do raju! Zdarza się też, że to samo pytanie w formie egzystencjalnego „Czym się zajmujesz?”, podchwytliwego „Nad czym teraz pracujesz?”, frywolnego „Co porabiasz?” lub urzędowego „Zawód wykonywany” padnie z samej Wenecji od innego, dajmy na to, kuracjusza tego ekskluzywnego zakładu, któremu zaawansowana choroba (czytaj: Wenecja) nie pozwala docenić tak oczywistego z zewnątrz klimatu błogości. Wtedy najlepiej sprawdza się odpowiedź: „Piszę”, „Pracuję nad książką”, „Piszę powieść”. Dalej nie trzeba już niczego wyjaśniać.

Mieszkanie w Wenecji to profesja, bardziej lub mniej podejrzana, to zajęcie samo w sobie i wszystkie zawody naraz: przecież Wenecja to najstarszy zawód świata! Pisanie w Wenecji jest tym samym, co robienie tu codziennych zakupów, malowanie obrazów, odbieranie dzieci ze szkoły czy naprawa pękniętej rury. Naprawa pękniętej rury w Wenecji? To się nadaje na powieść. Dlaczego w ogóle pękła rura? Bo... Wenecja! I dlaczego tak śmiesznie wieszają tu pranie?



Gdy zdyszany Marcel wpada do odjeżdżającego wraz z matką pociągu, pokonawszy w ciągu jednego zdania, niezajmującego więcej niż jedną trzecią strony, zawrotną (jak na Wenecję) odległość pomiędzy San Marco a dworcem Santa Lucia, co – biorąc pod uwagę nawyki narratora – powinno mu było pochłonąć co najmniej pół tomu *W poszukiwaniu straconego czasu*, to jest to możliwe tylko dlatego, że rzecz dzieje się w Wenecji. (Canal Grande karleje, gdy duch Wenecji go opuszcza, a Rialto osuwa się w banał). W ciągu kilku zwrotek *O sole mio* śpiewanych przez gondoliera Wenecja staje się beużytecznym rekwizytem – i w oczach podróżnego, ociągającego się przed wyjazdem, jej topografia





składa się jak kieszonkowa mapa albo domek z kart. Skoro zaś w tym wypadku duchem Wenecji jest matka, nabierający prędkości pociąg nie może porzucić miasta tak, jak to uczyni z Padwą i Weroną, gdy te wybiegną mu na spotkanie. W tyle, zanim dotrze do Padwy i Werony, pozostanie na zawsze niezapisana kartka, dwie trzecie strony albo połowa tomu.

Wenecja – im bardziej jedyna, tym bardziej wielokrotna – pozwala wierzyć, że każdy pisze w niej swój własny scenariusz. Ta stara wiecznie młoda kobieta wszelkich obyczajów, kochanka osób wysoko i nisko postawionych, szafarka złudzeń i – niech jej będzie – kurtyzana (to słowo jest dziś zbyt często pustym ornamentem, wybiegiem poetów chcących zaoszczędzić współczesnemu czytelnikowi wizji cór Koryntu błąkających się wśród tirów podweneckiej Marghery na stałym lądzie) zna wszystkie sztuczki i zadowoli najwybredniejszego klienta. Ma też ceny na każdą kieszeń, zupełnie jak wody Laguny: trochę

słodkie, a trochę słone, i choć ani się ich napić, ani się w nich wykąpać, nie można zaprzeczyć, że jest się nad wodą. Wszystko pod jednym warunkiem: Wenecja. Należy przyuczyć się do nowego zawodu, porzucić matczyną sukienkę i spojrzeć Wenecji prosto w twarz (czy też w inną część ciała wybraną stosownie do naszych upodobań). Trzeba wejść z nią w spółkę (choć i tak nas oszuka), zainwestować, aby stracić albo – jeśli to bardziej sprzyja naszej naturze – pokochać ją, wiedząc, że oddaje się każdemu i że i tak najchętniej byłaby sama.

W krainie płynnych luster, które wślizgują się wszędzie i nawet z matowych kamieni mostu są w stanie wykrzesać migocące odbicie, patrzeć jest zajęciem najwyższego ryzyka. Stając oko w oko z Wenecją, narażamy się na nieprzewidywalne w skutkach zderzenie z własnym obliczem – i to w formie niezależnej od nas, lecz od jej kapryśnego żywiołu. Niezawodną bronią okazują się wtedy aparaty fotograficzne, amatorskie kamery filmowe czy najnowsze modele telefonów lub urządzeń telefonopodobnych. Należy uzbroić się przed natarciem albo na wszelki wypadek. Z braku tarcz można pokonywać dziś miasto z wyciągniętym przed siebie ekranem. Ci, którzy nie pamiętają legendy o Bazyliszku, zwracając ekran tarczy to w jedną, to w drugą stronę, padając ofiarą dwukrotnie: miasta i samych siebie.

Gdyby po przekroczeniu mostu Wolności (Ponte della Libertà), na wzór lotniskowych kontroli w czasach walki z terroryzmem, kategorycznie rekwirovano wszelkie instrumenty wizualnej reprodukcji na całą długość pobytu w Wenecji, bez względu na jego prywatny czy też służbowy charakter, mogłoby dojść nie tylko do rewolucyjnych utargów w handlu pocztówkami (do wyczerpania ich nakładu), ale także, na przykład, do masowego oślnienia, niebezpiecznego wzrostu wskaźników pamięci i nasilenia się praktyk religijnych. Najbardziej brzemienna w skutkach byłaby jednak przechodząca w ekstazę lub torturę beczyność samego patrzenia, na którą skazane zostałyby tłumy zwiedzających.

W przypadku podróży służbowych należałoby wystosować oficjalne ostrzeżenie, że jedynym znanym Wenecji kryterium jest Wenecja, a to oznacza, że obce jej są kryteria tak zwanego profesjonalizmu, o ile tą profesją nie jest ona sama. Nie ma zatem odwołania do zewnętrznych sądów – tak samo jak nie można się zdać na biegi samochodu na oblodzonej drodze. Wrzuca się pierwszy, drugi... nie, od razu czwarty, zapominając (celowo!) o tym, że Wenecja z samochodem nie ma nic wspólnego, po to tylko, by puściły wszelkie hamulce (ręczne) i by nawet wsteczny nie zadziałał. Kolekcjoner sztuki o dowolnym pochodzeniu i niewiadomej reputacji zorganizuje tu wystawę dla opieczutowania swych zbiorów rozpoznawalnym na całym świecie tatuażem: „pokazane w Wenecji”. Uwiedzeni przez miasto i spici atmosferą niekończącego się przyjęcia klienci dokonają zakupów w drodze z jednego party na drugie, i znów zakręci się interes wokół weneckiego palca. Albo raczej wokół paluszka damy o powtarzanym do znudzenia imieniu, która jest w stanie sprzedać najmizerniejszy skrawek swego ciała za niebotyczną cenę – bo któż dotykając, nie chciałby dotknąć nieba. Dama wie przy tym dobrze, że to,

co sprzedaje, jest w rzeczywistości złudzeniem, a sprzedać złudzenie w rzeczywistości – to doprawdy magiczna sztuka!

O ile agenci ubezpieczeń są w stanie przeliczyć walutę strachu na poczucie bezpieczeństwa i oszacować antidotum na okrucieństwa losu, o tyle Wenecja urzeczywistnia złudzenia marszanda, nadając im wartość w pieniądzach, lecz nie pozbawiając ich przy tym nierzeczywistości, co język współczesnej filozofii mógłby nazwać paradoksem wiecznego dziewictwa. Cóż, że w rękach kupującego pozostaje jedynie marny, choć zazwyczaj ogromnych rozmiarów, skrawek płótna, tona brązu czy katalog grubości książki telefonicznej Manhattanu, na wekslu z czerpanego papieru widnieje bezcenny podpis – albo, jak mówi Josif Brodski: znak wodny – z niewidzialną kaligrafią imienia. Dopóki istnieje ta, która je nosi (a – być może – tym bardziej przez to swoje zalotne istnienie-nieistnienie, w które tak naprawdę nikt nie wierzy, szczególnie zaś ludzie interesów), wypłata jest zawsze gotowa: gwarantuje ją bank, którego zasoby nigdy się nie zmniejszą, ani też nie wyczerpią, bo od zawsze jest pusty.

Dlatego nie jest możliwe, aby ktokolwiek w Wenecji pracował. To się po prostu nie mieści w głowie! Wszelkie plany, kosztorysy, kalkulacje ryzyka, strategie biznesowe opracowane przez sztaby specjalistów i zrzucone na miasto desantem rozpływają się równie szybko co krople deszczu na powierzchni kanału, od których wcale nie przybywa w nim wody. Właśnie tak: to, co gdzie indziej uważa się za kapitał (tym gorzej jeśli oparty na tzw. zawodowych kwalifikacjach, dzięki którym może stale rosnać), w Wenecji natychmiast się dewaluuje i przestaje wzbudzać zainteresowanie samych zleceniodawców. Miasto kusi ich zmysłowym szeptem: „Dam ci coś, co się stanie naprawdę, a nie wymaga planu – stanie się na twoich oczach – spełnię twój sen, o czym zechcesz, choćby o pieniądzach, które więcej są warte niż te, które przywiozłeś ze sobą”. (Bo przecież zawsze chodzi o pieniądze). To wobec tego szeptu, rychło przechodzącego w śpiew syreny lub całego chóru syren, wszystkie profesjonalne zabiegi są niczym inwentarz sklepu z artykułami paraerotycznymi w porównaniu z ciałem kobiety.

Odkąd upadła Republika Wenecka, czyli Wenecja zdana na samą siebie, nieufna, skryta i samowystarczalna, miejscowa lub przydzielona temu miejscu władza (jest przecież nie tylko burmistrz, lecz także prefekt i wojewoda) popada w ciągłe tarapaty. Bramy „Złotej księgi”, w której do dziś przesiadują nieco już zmurszali, a zatem o ileż bardziej atrakcyjni, weneccy patrycjusze, czyli po prostu „ludzie zacni” – *nobil homini* i ich (w rodzaju żeńskim) *nobil donne* – bo tak od zawsze nazywa się wenecką arystokrację, zamknęły się prawie siedemset lat temu i choć wielbłądów jest wiele, igła zapewne utonęła, a ucho zarosło rdzą. W odciętej od ładu księdze obrady Wielkiej Rady trwają nadal i skończyć się nie mogą, bo pozbawiono je jedyne go i pierwotnego celu, jakim był wybór nowego doży na znak suwerenności wobec reszty świata.

Wenecja to dziedzictwo ludzkości, które wymknęło się ludziom (nieważne, czy bardziej, czy mniej zacnym). Próby instytucjonalizacji upaństwowionej na skalę globu intymności

Serenissimy – taki przydomek przyłgnął do Republiki Weneckiej, bo *serenissima* znaczy „najspokojniejsza”, a może po prostu „łagodna” – zawsze przypominają remont starego domu schadzek. Do weneckiej wersji słowa, jakim dawniej określano tego typu miejsce: *casin, casino* (z akcentem na *i*), wystarczy dodać *o* z akcentem i zamieni się w *casinò*, czyli kasyno (skądinąd inną wenecką specjalność), a ostro brzmiącą francuską nazwę zamienić dziś na dom publiczny, jutro, na przykład, na fundację (na rzecz uciech), pojutrze na muzeum (szczęścia), a w razie potrzeby na związek weteranów albo kombatanatów (przyjemności). Żadna formuła i tak się nie sprawdzi, i wciąż trzeba będzie ją zmieniać. Kolejne rządy nie mogą być przecież świadome tego, że Wenecji w ogóle nie jest potrzebna administracja, tylko usługi jakiegoś genialnego, pozbawionego skrupułów alfonsa albo nieśmiertelnej *madame*. Towar rozprowadzany na co dzień, od święta, raz w roku czy co dwa lata w ramach wystawy, prezentacji, przeglądu, festiwalu czy obchodów dni sztuki jest zawsze ten sam i w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, czy dostaje się go z rąk brunetki, czy blondynki, w hotelowym pokoiku, zmurszałym salonie pałacu, stoczniowej hali przemalowanej na galerię czy w pawilonie zaprojektowanym przez modnego architekta. Znajdą się branże, filie, odnogi, biblioteki i działy w zależności od wieku, płci i zainteresowań. Wystarczy kupić bilet, choć będzie to (uwaga!) jedynie bilet wstępu, obietnica podróży, która uganiać się będzie za celem, lecz nigdy do niego nie dotrze. (Są nawet зниżki, ale nie ma zwrotów).

Całe to zamieszanie wokół Wenecji przypomina dziecięcą zabawę w pomidora: na każde pytanie albo najbardziej absurdalną zaczepkę należy odpowiedzieć „pomidor” i zrobić to bez cienia uśmiechu i zawahania. Ze ściągającą twarz powagą, choćbyśmy wewnątrz pękali: pomidor! Dopóki nie rozerwie nas eksplozja śmiechu, sprawiając, że to, co jest przegraną w grze, stanie się bezcenną zdobyczą, po raz kolejny i na nasze zawołanie wyzwalać magię ze słowa pozbawionego przez grę wszelkiego znaczenia i związku z rzeczywistością: Wenecja! Pomidor! Wenecja! Jak dzin uwolniony z butelki: Pomidor! Pomidor! Wenecja! Wtedy powieść o Wenecji można by zacząć pierwszym akapitem opowiadania Maupassanta: „Mogłeś tam pójść każdego wieczoru około godziny jedenastej, po prostu tak jak do kawiarni” i jego słowami zakończyć, bez względu na to, co się stanie: „Policzono im tylko za szampan, i to zaledwie po sześć franków za butelkę – zamiast dziesięciu zwykłej ceny. Gdy dziwili się tej hojności, rozpromieniona Madame odparła: »Przecież nie co dzień mamy święto«”.

Wenecja to święto na co dzień. A święta to przecież, religijnie czy ustawowo, dni wolne od pracy.

Wielbłądów jest wiele, igła zapewne utonęła, a ucho zarosło rdzą





Dlaczego Wenecja? Dlaczego miłość?

Bo... Wenecja! Wenecja to sen, który się spełnia, talizman szczęścia, ikona piękna, miesiąc miodowy. To wspólny język, bo piękno łączy.

Wenecja ucieleśnia nasze miłości, spełnione i niespełnione, i jest sceną w teatrze naszych pragnień. W Wenecji, prawdziwej lub wyobrażonej, każdy jest gwiazdą, bo gra w najpopularniejszym filmie na świecie. Wystarczy przywołać jej imię, a oczy otwierają się szerzej.

Od wielu lat na pytanie: „Co robisz?”, odpowiadam: „Mieszkam w Wenecji”.

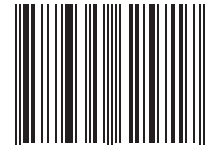
„Naprawdę?”

I wtedy zaczyna się moja opowieść.

Ewa Górniak Morgan

esteri

ISBN 978-83-65625-71-7



9 788365 625717 >